

Zygmunt Bauman

Uwagi o freudowskim pojmowaniu kultury albo: co się stało z zasadą rzeczywistości?

...każde indywiduum jest potencjalnym wrogiem kultury [...].

Mamy przeto wrażenie, że kultura jest czymś, co wzbraniającej się większości narzuciła mniejszość [...].

Należałoby mniemać, że musi powstać jakaś nowa forma regulacji stosunków międzyludzkich, dzięki której uda się zasypać źródła niezadowolenia z kultury w ten mianowicie sposób, że doprowadzi ona do wyrzeczenia się przymusu i tłumienia popędów, a ludzie, nie dręczeni rozdarciem wewnętrznym, będą się mogli oddać zdobywaniu dóbr kulturalnych i syceniu się przyjemnością ich posiadania. Byłby to zaiste Wiek Złoty, atoli powstaje pytanie, czy urzeczywistnienie takiego stanu jest w ogóle możliwe [...] w równie niewielkim stopniu jak przymusu pracy nie da się uniknąć zdominowania nas przez mniejszość [...]¹.

Dlaczego tak się dzieje? Bo ludzie „nie są spontanicznie skorzy do pracy”, a „namiętności ludzkie nie są podatne na siłę argumentów”². Trzeba więc *zmuszać* ludzi do tworzenia społeczeństwa. Chciałoby się rzec: trzeba ich siłą skłaniać ku *ludzkości*, mając na względzie to, że przynajmniej od czasów Arystotelesa założenie, iż istoty ludzkie odróżnia się od zwierząt i aniołów po tym, że mogą istnieć wyłącznie *wewnątrz Πόλις* – starożytnego odpowiednika archetypu nowoczesnego pojęcia „społeczeństwo”, było w myśli zachodniej aksjomatem, którego nie próbowano podważać ani rewidować; Thomas Hobbes wprowadził zaś do potocznego myślenia ery nowoczesności uaktualnioną, zmodernizowaną wersję intuicji Arystotelesa, twierdząc, że gdy nie działają siły przymusu, *homo homini lupus est*, życie jest zaś brudne, brutalne i krótkie. Jednak tam, gdzie jest przymus, czyli tam, gdzie ludzie są zmuszani do zachowania się wbrew naturalnym skłonnościom, zawsze są niezadowolone i sprzeciw – zwykle tłumione, wypierane lub zwracane w innym kierunku, ale czasami też jawne.

Innymi słowy, trzeba zapłacić cenę za wyzwolenie ze zwierzęcej egzystencji, za to przytulne i rozkoszne poczucie bezpieczeństwa, jakie może zapewnić tylko przymus społeczny. Nie ma darmowych lunchów – mówi angielskie przysłowie: gdy coś ci dają, coś innego oddać musisz.

Cywilizowane życie (ogólniej: życie, które umożliwia istnienie ludzkiej wspólnoty) jest handlem *wymiennym*. W sporządzonym przez Freuda 80 lat temu wykazie rzeczy, które ludzie skłonni byli wymienić na bezpieczeństwo, znalazło się wiele przyjemności,

¹ S. Freud, *Przyszłość pewnego złudzenia*, w: *idem, Pisma społeczne*, przeł. A. Ochocki, M. Poręba, R. Reszke, oprac. R. Reszke, Warszawa 1998, s. 124–125.

² *Ibid.*, s. 123.

których każą im szukać instynkty i o które zabiegaliby, jeżeli by im tego pod groźbą przemocy nie zabronić lub nie udaremnić. W zamian za wyrzeczenie zyskali znaczną dozę bezpieczeństwa – od cierpień i zagrożeń stwarzanych przez przyrodę, własne ciało i innych ludzi.

Cena, jaką trzeba płacić i warunki transakcji nigdy nie są w pełni zadowalające. Dlatego żadnej transakcji nie można traktować jako doskonałego, a więc i ostatecznego zrównoważenia dawek bezpieczeństwa i wolności – dwóch tyleż człowiekowi niezbędnych, ile niemożliwych do pogodzenia wartości. Każda „wymiana” jest raczej tym, co wolelibyśmy nazywać „ugodą” czy „umową”, kompromisem i chwilowym zawieszeniem broni; porozumieniem z reguły przejściowym i do ponownego rozpatrzenia, wiecznym cierniem w ciele relacji między jednostką a społeczeństwem, wieczną pokusą do anarchistycznego buntu albo autokratycznego/totalitarnego zamachu stanu i pobudką do nowej bitwy lub wezwań do reformy praw i powinności przewidzianych w zawartej poprzednio umowie.

W rozważaniach Freuda *eutopia* (dobre miejsce) pojawia się zawsze obok *outopii* (miejsca, które nie istnieje). Dar kultury jest obosieczny, wywołuje ambiwalentne impulsy – jest jednocześnie przekleństwem i błogosławieństwem. Kultura („mam na myśli to wszystko, – powiada Freud – w czym życie ludzkie wzbilo się ponad swe zwierzęce uwarunkowania i w czym różni się ono od życia zwierząt”³) nie może się obyć bez przymusu i dlatego nie może też obyć się bez niezgody i odstępstwa, ponieważ przymus z definicji prowadzi do sytuacji, w których nie da robić czegoś, na co się ma ochotę, trzeba natomiast zrobić coś, czego robić się nie chce.

Nie ma gładkiej, bezpiecznej, przyjaznej użytkownikowi i wolnej od przykrości drogi, wiodącej do ustanowienia i utrwalenia norm cywilizowanego życia – o czym za czasów Freuda doświadczenia Europejczyków z kolonializmem zdawały się świadczyć równie dobitnie jak jego własne doświadczenia z wiedeńskimi pacjentami (choć rodzaj przymusu, którego konieczność w obu wypadkach doświadczenia te potwierdzały, a także rodzaj cierpień, których nieuchronność sugerowały, znacznie się różniły). Gnuśne i odporne „masy” trzeba wydobywać z ich „świńskiej” egzystencji siłą lub podstępem, jak Elpenora z opowiadania Liona Feuchtwagnera *Odyseusz i wieprze*. Majtek ten („chłopak jak inni, ani w zapasach najdzielniejszy, ani rozumem zbyt tęgi”) gwałtownie zaprotestował, gdy odzyskawszy ludzką postać, nie tylko nie mógł już „tarzać się w błocie i grzać na słońcu, żreć i chlać, chrząkać i kwiczeć”, ale także „być wolnym od rozmyślań i zwątpienia”⁴. Lecz i przedstawiciele „mniejszości”, od których oczekiwano, że ludziom takim jak Elpenor narzucą cywilizowane cele i środki, bynajmniej nie byli wolni od trosk i mieli nie więcej powodów do radości, niż „masy”. Przy każdej próbie swobodnego zaspokajania przyjemności, jakich popędy kazały im pożądać, uderzali o twarde, nie-

³ *Ibid.*, s. 123.

⁴ L. Feuchtwagner, *Odyseusz i wieprze, czyli tarapaty z kulturą*, przeł. M. Wislocka, Warszawa 1965, s. 50.

przenikliwy mur, dzielący ich od przedmiotów pożądania. Mur ten nazwano „rzeczywistością”, a uszkodzone w zderzeniu z nim umysły i potłuczone ciała miały być według Freuda głównym powodem, dla którego ludzie zwracali się o pomoc do niego lub innych psychoanalityków. Pacjenci Freuda rekrutowali się z jedynej części społeczeństwa, która dzięki fachowej pomocy miała szansę pozbycia się swych ułomności lub choćby złagodzenia dolegliwości, jakie z tego powodu ich nękały. Innymi słowy, z jedynej części społeczeństwa, w odniesieniu do której można było liczyć na dotarcie do przyczyn ich udręk, a odkrywszy je, zredukować ich toksyczność, która w przeciwnym wypadku narażałaby skutek niezrozumienia lub mylnej interpretacji przyczyn i błędnych, całkiem nieskutecznych, a potencjalnie groźnych dla pacjenta, reakcji. Przyczyny cierpień psychicznych nie rozwiewały się w powietrzu, gdy wydobywano je na światło dzienne i poddawano osądowi rozumu, ale przynajmniej ich żądła można było odsączyć z jadu. Dzięki poznaniu i zrozumieniu przyczyn cierpienie stawało się mniej dotkliwie. W przeciwieństwie do niedoli uciskanej większości, tego rodzaju udreki poddawały się terapii, odwołującej się do rozumu, bo były to udreki ludzi, którzy już przekonali się do blasków i wygod cywilizowanego życia (życia, które „wzbiło się ponad swe zwierzęce uwarunkowania”) i cierpieli li tylko z powodu ceny, jaką trzeba było za cywilizowane życie płacić. Ceny, o której ich nie uprzedzono dość wyraźnie, a która okazała się nadmiernie wygórowana.

To tę mniejszość miał na myśli Freud, mówiąc o kulturze jako handlu wymiennym, polegającym na wymianie dwóch równie ważnych i niezbędnych dla człowieka wartości. Przewyciężenie „zwierzęcych uwarunkowań” i osiągnięcie poziomu cywilizowanego życia przyczynia się do znacznego wzrostu bezpieczeństwa wobec zagrożeń, jakie czyhają w naszym cieple, w świecie zewnętrznym i w stosunkach z innymi⁵. Zarazem jednak powoduje konieczność rezygnacji z dużej części naszej wolności. Nie można już folgować swoim wewnętrznym popędom, trzeba opanowywać i powściągać instynkty, ustanowić granice dążeniom do przyjemności, utożsamianym przez nas z poczuciem szczęścia. Ogólna zasada, którą trafnie oddaje angielskie przysłowie: „*You can't eat a cake and have it*” (a więc polskie „Nie można mieć wszystkiego naraz”) odnosi się także do cywilizacji. Dolegliwość ograniczenia wolności jest ceną, którą trzeba zapłacić za komfort bezpieczeństwa.

Cóż powiedziałby Freud, gdyby teraz siedział tutaj z nami? Przypuszczam, że uogólniłby swoją ocenę i stwierdził, że wszelka kultura – a więc każda forma współżycia między ludźmi, która „wzbiła się ponad zwierzęce uwarunkowania” – jest handlem wymiennym, a nasz przypadek nie stanowi wyjątku. Sądzę jednak również, że postawiłby *przeciwną* diagnozę w odniesieniu do towarów, które podlegają wymianie. Prawdopodobnie powiedziałby, że najważniejsze powody do niezadowolenia biorą się dzisiaj stąd, że poświęciliśmy znaczną część bezpieczeństwa gwoli ciągłego poszerzania zakresu

⁵ S. Freud, *Das Unbehagen in der Kultur*, Wien 1930.

wolności. Co się tyczy mniejszości, z której rekrutują się pacjenci odwiedzający przychodnie psychoanalityczne, źródłem ich cierpień jest dzisiaj głównie brak *pewności*, który nie pozwala im w pełni cieszyć się *wolnością*, uzyskaną przez nich w nigdy dotąd nie osiągalnym stopniu. Lęki powodowane przez niedostatek osobistego bezpieczeństwa, któremu kultura czasów, w jakich powstawała analiza Freuda, obiecywała położyć kres, dają dziś o sobie znać z pomnożoną siłą. Nałożone popędem więzy, z którymi mocowano się w owych czasach z desperacją, wydają się ludziom współczesnym nie tak znowu straszne w zestawieniu z nowo ujawnionymi zagrożeniami osobistego bezpieczeństwa...

W ostatnich latach kilkakrotnie oglądałem w telewizji wywiady z pasażerami samolotów, którzy tracili dawno planowany urlop lub ważne spotkania służbowe czy biznesowe, ponieważ skasowano ich loty i przez wiele godzin lub nawet parę dób trzymano ich na lotnisku z racji grożącego ponoć ataku terrorystycznego. Prawie nikt z indagowanych się nie skarżył. Większość była zmęczona i znużona czekaniem, lecz nie buntowała się; przeciwnie, była zadowolona. Nie szczędzono pochwał władzom, które pomogły zażegnać katastrofę. „Nigdy nie czuliśmy się bezpieczniej” – powtarzano bez końca. Od tego czasu alarmy antyterrorystyczne stały się zjawiskiem regularnym, a pasażerowie zdołali przywyknąć do rezygnowania z coraz to nowych obszarów osobistej wolności. Dzień po dniu miliony mężczyzn i kobiet na tysiącach lotnisk całego świata cierpliwie, ze zrozumieniem, a nawet z poczuciem zadowolenia wystają w niekończących się kolejkach, by poddać się drobiazgowej rewizji osobistej, na którą jeszcze przed kilkunastu laty oni sami lub ich rodzice oburzaliby się jako na kolejny przejaw totalitarnych aspiracji władz, urągający ludzkiej godności. Z przyjemnością też, spacerując po *shopping malls* – handlowych deptakach – przyglądają się kawalkadom uzbrojonych ochroniarzy i dziesiątkom kamer, które rejestrują każdy ich krok, gest i grymas...

Niechaj będzie to jasne: nie chodzi tu o zjawiska pożałowania wprawdzie godne, ale nieuniknione, jednorazowe czy okazjonalne, odbiegające od normy czy płynące pod prąd czasu. Nie są też te zjawiska logicznymi reakcjami na zagrożenia z zewnątrz, uzasadnionymi rozmiarem terrorystycznej groźby lub rzeczywistym lub domniemanym wzrostem przestępczości. Takie tłumaczenie wspomnianych zjawisk równałoby się odwracaniu kolejności przyczyn i skutków. Trzeba dojrzeć w nich symptomy powstającej dziś nowej normy.

Niepewność (*die Unsicherheit*), z którą według Freuda kultura toczy nieustanną wojnę (*Unsicherheit* – pojęcie, dla którego język angielski potrzebuje aż trzech rzeczowników: *uncertainty*, *insecurity* i *un-safety*⁶), stała się dla znacznej liczby naszych współczesnych najdotkliwszą i najbardziej dokuczliwą troską, przesłaniającą lęki, jakie wywołuje lub może wywołać niedostatek wolności. Większość naszych współczesnych, a z całą pewnością tych, którzy odwiedzają gabinety psychoanalityków, niepewność gnębi znacznie

⁶ Znaczenie tych trzech słów częściowo się pokrywa, przy czym *uncertainty* oznacza „niepewność”, *insecurity* odnosi się do egzystencjalnego zagrożenia, a *un-safety* wskazuje na groźby dla osoby – ciała i jego przedłużeń (posesji i osobiście używanej przestrzeni).

bardziej, niż skrępowania popędów. W ich odczuciach winą kultury jest poświęcenie ogromnego obszaru pewności gwołi radowania się wolnościami, na jakie nam przyzwala. Ten grzech zarzucano jej zresztą na długo przed zburzeniem wież na Manhattanie i zanim jeszcze ogarnął ich strach przed włóczęgami, wścibskimi gapiami i łazikami, gwałcicielami, natrętnymi żebrakami, brudnymi imigrantami, ulicznymi złodziejami i serijnymi mordercami. Już od kilkudziesięciu lat wahadło wartości pędzi w przeciwnym, niż w czasach Freuda kierunku, nabierając z roku na rok pędukości.

Świat analizowany przez Freuda był światem Buddenbrooków: światem sztywnych norm i surowych kar dla wszystkich, którzy je łamią. Norm jasno określonych i czytelnych, których należało wyuczyć się raz na zawsze, jako że miały obowiązywać przez całe życie jednostki – do grobowej deski. Pochodzenie, rodzina, majątek i tradycja wytyczały szlak życiowej drogi, z góry ustalony, choć jeszcze nieprzebyte. Jak orzekli później psychologowie egzystencjalnej szkoły, tacy jak Ronald D. Laing i Thomas Szasz, rodzina, wpisana w środowisko, a przez środowisko wmontowana w klasę, pełniła funkcję instancji nadzorczej (lub, jak jeszcze później ujął to Michel Foucault, była naczyniem włoskowatym panoptycznego systemu kontroli społecznej), zmuszając swoich członków do trzymania się wyznaczonej im drogi i skazując na banicję odstępców (by użyć pojęć Freuda, rodzina była równocześnie strażą przednią, generalnym pełnomocnikiem i głównym egzekutorem „zasady rzeczywistości”, których zadaniem było poskramianie i powściąganie „zasady przyjemności”). Daniel Cohn-Bendit z czterdziestoletniej perspektywy ocenia, że ci, którzy w 1968 r. sprawili, że światoburcze wówczas słowa ciałem się stały, zwyciężyli w aspekcie społecznym i kulturowym (choć, jak nie omieszka dodać, przegrali – na szczęście! – batalię polityczną).

Głównymi bohaterami filmu *Le diable probablement* (Prawdopodobnie diabeł), nakręconego przez Roberta Bressona w 1977 r. – roku, w którym nie było jeszcze komputerów osobistych, telefonów komórkowych, iPodów ani mobilnych systemów nawigacyjnych – są zagubieni młodzi ludzie, desperacko szukający sensu życia, swego w nim powołania i wyjaśnienia, co właściwie znaczy „być powołanym”. W jakimkolwiek dramacie, którego byli gorliwymi aktorami lub niechętnymi statystami, nie widać było jakoś jego scenarzystów ani reżyserów – dorośli nie spieszyli z pomocą. W rzeczy samej, przez 95 minut, których akcja filmu potrzebowała, by dotrzeć do tragicznego finału, na ekranie nie pojawia się ani jedna dorosła postać. Całkowicie pochłonięci nieudanymi próbami porozumienia się we własnym gronie (ich dialogi są znamienne nieliczne i zdawkowe), o istnieniu dorosłych przypominają sobie młodzi ludzie w jednej tylko scenie, w której wyczerpani przygodami, udają się do lodówki pełnej jadła zmagazynowanego na tę okazję przez (poza tym niewidzialnych) rodziców.

Następne lata dowiodły proroczego charakteru Bressonowej wizji. Trafnie rozpoznał on następstwa „wielkiej transformacji” (by posłużyć się terminologią Karla Polanyi’ego), której był wraz ze swoimi współczesnymi świadkiem, choć nieliczni tylko byli tego świadomi: przejścia od *społeczeństwa producentów* – robotników i żołnierzy – do *społeczeństwa*

konsumentów – jednostek na mocy dekretu i nałogowców krótkofalowego myślenia przez adaptację. 20 lat później Richard Sennett zanotował płaczliwe skargi nowojorskiego piekarza Rico: „Nie wyobrażasz sobie, jak głupio się czuję, mówiąc moim dzieciom o zaangażowaniu. Dla nich to kompletna abstrakcja, gdzie one niby mają to zobaczyć?”⁷ Sennett dodaje od siebie:

Zachowanie, które w pracy zapewnia sukces (lub przynajmniej przetrwanie), nie przynosi zatem Ricowi wiele pożytku w wypełnianiu roli rodzica. W zasadzie jego problem jest dokładnie przeciwny: jak chronić relacje rodzinne, by nie poddały się krótkotrwałości, nie zaczęły przypominać biurowej burzy mózgow i, przede wszystkim, by lojalność i zaangażowanie nie były równie słabe, jak we współczesnych organizacjach?⁸

Analizowane przez Freuda społeczeństwo „solidnej” nowoczesności było niewątpliwie społeczeństwem producentów i żołnierzy. Rodzice przyszłych robotników i żołnierzy mieli do odegrania jednoznaczne i ściśle określone role. W „solidnej” nowoczesności, w społeczeństwie producentów i żołnierzy rolą rodziców było dostarczanie dzieciom wzorca normatywnie uregulowanych zachowań i wpajanie im samodyscypliny, potrzebnej, by znosić i wytrzymywać monotonną rutynę sali fabrycznej, urzędu lub koszar. Za przykład broni z obficie wyposażonego arsenału, z jakiego czerpano, by uprawomocnić i egzekwować ścisłą kontrolę i całodobowy nadzór nad potomstwem, jakich w tamtej epoce spodziewano się po rodzicach, Michel Foucault wybrał *casus* dziecięcego seksualizmu i „paniki onanizmu”. Rodzicielska kontrola

wymaga [...] ciągłej, uważnej i docieklivej obecności; zakłada bliskie kontakty i dokonuje się przez wnikliwe sprawdziany i obserwacje; wymaga wymiany dyskursów prowokowanej pytaniami, zmuszającymi do wyznań i zwierzeniami, przekraczającymi granice stawianych pytań. Implikuje zbliżenie fizyczne i grę intensywnych wrażeń⁹.

Według Foucaulta w nieustających bojach o wzmocnienie roli rodziców i ich dyscyplinującego wpływu „występek» dziecka [był] nie tyle przeciwnikiem, co wsparciem”. „Wszędzie, gdzie [występki] miały możliwość się ujawnić, instalowano urządzenia monitorujące i pułapki, które wymuszały przyznanie się do winy”¹⁰. Łazienki i sypialnie były miejscami największego zagrożenia, najpłodniejszą glebą dla chorobliwych skłonności seksualnych dziecka, a tym samym miejscami, wymagającymi szczególnie ścisłego, bezpośredniego, nieustającego nadzoru oraz ciągłej, wyraźnie widocznej i narzucającej się rodzicielskiej obecności.

⁷ R. Sennett, *Korozja charakteru. Osobiste konsekwencje pracy w nowym kapitalizmie*, przeł. J. Dzierżkowski, Ł. Mikołajewski, Warszawa 2006, s. 26.

⁸ *Ibid.*, s. 27–28.

⁹ M. Foucault, *Sexualität und Wahrheit. Erster Band: Der Wille zum Wissen*, Frankfurt 1977, s. 59.

¹⁰ *Ibid.*, s. 57.

W epoce płynnej nowoczesności miejsce „paniki onanistycznej” zajęła „panika seksualnych nadużyć” (rodzicielskiej władzy)... Zagrożenie, będące powodem dzisiejszej hysterii, kryje się nie w seksualności dziecka, lecz jego rodziców. Kryjówkami dla odrażających czynów są jak dawniej łaźienki i sypialnie, ale winnymi występków są teraz rodzice. Cel nowej krucjaty, w której jako broni użyto hysterii rodzicielskich nadużyć seksualnych, jest dokładnie przeciwny celom, jakie odkrywał Foucault, badając dzieje paniki onanistycznej. Jawnymi bądź ukrywanymi celami obecnej kampanii są: *rozluźnienie* rodzicielskiej kontroli, odwrót od ciągłej i narzucającej się obecności rodziców, stworzenie i utrzymanie dystansu pomiędzy „starymi” a „młodymi” w rodzinie i w kręgu jej przyjaciół.

Niech będzie jasne, że mowa tu o dwóch różnych panikach, a nie o nagłym przeobrażeniu popędów seksualnych, które doprowadziło do radykalnej przemiany zachowań. Tak zwane „paniki moralne” z reguły same stwarzają fakty, podawane za ich źródła, a liczba relacjonowanych i rejestrowanych „faktów” świadczy raczej o rozmiarach paniki, niż o tym (jak powiedziałby Leopold von Ranke) *wie es ist eigentlich gewesen* (co rzeczywiście się działo) w sypialniach i łaźienkach. Jeśli chodzi o obecną panikę, to według najnowszego raportu opublikowanego przez Institut national d'études démographiques w ciągu sześciu lat (od roku 2000 do 2006) liczba osób dorosłych, które przypomniały sobie, że byli w dzieciństwie obiektami nadużyć seksualnych ze strony rodziców, wzrosła prawie trzykrotnie (ogólnie z 2,7 do 7,3 procent, u kobiet do 16 procent, a u mężczyzn do pięciu). Autorzy badania tłumaczą, że „nie jest to dowód nasilającej się przemocy seksualnej, lecz rosnącej tendencji do zgłaszania przypadków gwałtu w badaniach naukowych, co świadczy o spadku tolerancji dla przemocy”. Nasuwa się jednak uwaga, że świadczy to również o narastającej, podsycanej przez media tendencji do wyjaśniania bieżących problemów psychicznych osób dorosłych seksualnymi nadużyciami rodzicielskiej władzy, zamiast jak dawniej interpretować je, odwołując się do tłumienia seksualizmu dziecięcego i kompleksu Edypa lub Elektry. Nie to jest ważne, ilu rodziców przy współudziale lub bez innych dorosłych, traktuje swoje dzieci jako obiekty seksualne i do jakiego stopnia wyzyskują oni własną przewagę i słabość dziecka (tak jak dawniej nie miało znaczenia, ilu z nich w dzieciństwie oddawało się masturbacji). Ważne jest, że wszystkich ich ostrzeżono, iż zmniejszanie dystansu, jaki oni sami i inni dorośli powinni zachowywać wobec dzieci, może być (i będzie) interpretowane jako otwarte, potajemne lub choćby zgoła nieświadome folgowanie wrodzonemu popędowi do pedofilii... Dorośli i przyszli dorośli zostali ostrzeżeni, i przyswoili sobie treść przekazu oraz nowy język, w którym relacjonuje się i objaśnia cierpienia psychiczne.

Główną ofiarą paniki onanizmu padła *autonomia jednostki* – ta właśnie wolność osobista, której utratę zdiagnozował Freud, dokonując wiwisekcji cywilizowanego porządku. Od wczesnego dzieciństwa należało chronić przyszłych dorosłych przed ich własnymi chorobliwymi i (jeśli się ich nie powściągnie) potencjalnie niszczyielskimi instynktami i popędami. Mówiąc słowami Freuda, cywilizowany porządek społeczny wymaga

skrępowania antyspołecznej „zasady przyjemności”, której ulegliby ludzie, gdyby jej nie poskramiała narzucana przez społeczeństwo „zasada rzeczywistości”. Emile Durkheim ostrzegął, że rozpad bądź rozluźnienie narzuconych społecznie ograniczeń nie zaowocuje wzrostem indywidualnej wolności, lecz pogłębi jeszcze kruchość i bezradność jednostki ludzkiej, czyniąc ją jeszcze bardziej niewolnicą instynktów. Skłonność do samounicestwienia będzie rosła, im bardziej ludzie będą „żyć jak egoiści”, ulegając bez skrępowań pożądaniu natychmiastowych, a ulotnych rozkoszy zmysłowych; ratunkiem przed samounicestwieniem jest podporządkowanie się jednostek nakazom i zakazom społecznie stanowionym.

Główną ofiarą paniki seksualnych nadużyć rodzicielskiej władzy są dla odmiany *intymność międzypokoleniowej więzi i zaufanie między pokoleniami*. Jeśli panika onanizmu przypisywała dorosłemu pokoleniu rolę najlepszego przyjaciela, anioła stróża i troskliwego opiekuna dziecka, panika seksualnego nadużycia władzy dorosłych przypisuje dorosłym rolę ‘zawsze podejrzanych’ (*usual suspects*), którym *a priori* zarzuca się występki czy to rozmyślnie popełnione, czy też takie, do których popełnienia są z natury swej skłonni choćby i nie żywili nikczemnych zamiarów. Pierwsza panika doprowadziła do spotęgowania władzy rodzicielskiej, ale również i do przyjęcia przez rodziców odpowiedzialności za i wobec dzieci, i podjęcia się wynikających stąd obowiązków. Obecna panika zwalnia dorosłych z ich obowiązków, wymaganii rodzicielskiej odpowiedzialności przeciwstawiając groźbę nadużyć seksualnych. Dostarcza dalszych bodźców i argumentów na rzecz i tak już zaawansowanego procesu komercjalizacji stosunków pomiędzy rodzicami a dziećmi: do rysującej się dziś ostro tendencji do podtrzymywania wzajemnych kontaktów przede wszystkim za pośrednictwem przekazu dóbr konsumpcyjnych. Cokolwiek pozostało z rodzicielskich wyrzutów sumienia po rezygnacji rodziców z czujnej i troskliwej obecności w życiu dziecka i porzuceniu funkcji, stanowiących kiedyś niezbywalne składniki rodzicielskiej odpowiedzialności, rynki konsumpcyjne obiecują rozproszyć i stłumić, przetwarzając każdą uroczystość rodzinną i każde święto religijne czy państwowe w okazję do obfitych prezentów, i wyzyskując pilnie a zapobiegliwie obawę dzieci przed pozostaniem w tyle za kolegami i ich pragnienie popisania się dostarczanymi przez sklepy znamionami społecznej dystynkcji w codziennej zawziętej rywalizacji z rówieśnikami.

Powyższe obserwacje nie sugerują bynajmniej, by dzisiejsi rodzice lub ich większość nie dopełniali spodziewanego i wymaganego przez społeczeństwo obowiązku, jakim jest przygotowanie potomstwa do życia zgodnego z wymogami społeczeństwa, do którego oni sami i ich dzieci należą. Nasuwają one raczej przypuszczenie, że zmieniło się społeczeństwo, w którego imieniu rodzice wychowują dzieci lub do życia w którym winni je przygotować. Nie jest to już społeczeństwo traktujące swych członków głównie z perspektywy ról producentów i żołnierzy, lecz społeczeństwo, które oczekuje przede wszystkim okazywania i praktykowania *cnót konsumenckich*. Gdy rozlega się alarm z powodu nadchodzącej depresji gospodarczej, politycy i eksperci pokładają nadzieję nie w roz-

szerzeniu produkcji i usług, ale w tym, że konsumenci więcej kupią i wydadzą więcej pieniędzy (w tym i tych, których jeszcze nie zarobili). Na marginesie społeczeństwa znaleźli się dzisiaj nie ci, którzy wzbraniają się lub ociągają przed dokładaniem wysiłku do przedsięwzięć produkcyjnych, ale ci, którzy, nie spełniając obowiązków *konsumenta*, wyłamują się (lub są wykluczeni) z korowodu *zakupów*.

Podstawowym zadaniem uspołecznienia nowonarodzonych (przygotowania ich do życia zgodnego z panującymi normami) jest otwarcie i ułatwienie dzieciom dostępu do korowodu zakupów i zwiększenie szans, że się w nim utrzymają i unikną groźby wykluczenia lub wypadnięcia. Członkowie społeczeństwa powinni być uczuleni na uwodliwe uroki rynkowych ofert i reagować na nie zgodnie z przewidywaniami ekspertów od marketingu; nieprawidłowa na nie reakcja lub brak reakcji świadczyłaby o ich niekompetencji lub nieudolności (*inadequacy*). Jak już 20 lat temu stwierdził Pierre Bourdieu, w społeczeństwach takich jak nasze kuszenie zastępuje normatywną regulację, a strategie „PR” (mówiąc prościej: reklamy) zajmują miejsce nadzoru; intensyfikacja pożądania i wzbudzanie wciąż nowych potrzeb czyni otwarty przymus zbytecznym. Nowe mechanizmy reprodukcji społecznej odniosą zamierzony skutek tylko pod warunkiem, że stosuje się je do ludzi, którzy „dorośli” (lub raczej których „dorośnięto”) do wyzwania. W ostrej opozycji do tradycyjnej rodziny z jej ścisłym rodzicielskim nadzorem nasze coraz bardziej zindywidualizowane, płynnie nowoczesne społeczeństwo konsumentów wymaga zatem rozluźnienia więzów rodzinnych, rozszerzenia autonomii dziecka i przyzwolenia na to, by młodzież orientowała się na branie wzoru z rówieśników i na równieśniczą rywalizację.

Tym, co gnębi młodzież naszych czasów, nie jest już nadmiar wszędobylskich nakazów i zakazów, ale przytłaczająca obfitość możliwych wyborów, jaką konsumencka odmiana wolności roztacza przed oczami wyobraźni. Lęki i wynikająca z nich kompulsywna aktywność i niecierpliwość połączone z potrzebą asekuracji, obserwowane u dzisiejszej młodzieży, rodzą się po pierwsze, z oszałamiającego nadmiaru opcji, a po drugie, z lęku przed błędnym wyborem czy choćby wyborem, który się okaże „nie tym najlepszym z możliwych”. Innymi słowy: rodzą się one z panicznego strachu przed przeoczeniem okazji, póki jeszcze czas (z reguły ulotny!), by ją pochwycić.

Inaczej niż za czasów naszych rodziców i dziadków, którzy w „stałej” fazie nowoczesności poddawani byli wychowaniu/ tresurze na miarę przyszłych robotników żołnierzy, do wyborów zalecanych dzisiejszym młodym nie dołącza się żadnych trwałych, autorytatywnych (a tym bardziej trwałych i autorytatywnych zarazem), jednoznacznych wskazówek co do drogi postępowania z chwilą, gdy wyboru już dokonali lub zalecaną opcję przyjęli. Powraca więc natrętnie obawa, że decyzja okaże się (jednak) błędna i (być może) będzie już za późno, by pechowy wybór odwołać lub przynajmniej ograniczyć poniesione z jego powodu straty. Stąd niechęć do wszelkich „dłuższych perspektyw” – zarówno we własnych planach życiowych, jak i w zobowiązaniach wobec innych istot. Nawiązując wyraźnie do wartości wielce wśród pokolenia młodych rozpowszechnionych, niedawna reklama polecała nowy tusz do rżęs, który „obietuje nienaganny wygląd przez całą dobę”. I dalej:

„Można powiedzieć, związek na stałe. Jedno pociągnięcie, a twoje piękne rzęsy przetrwają deszcz, pot, wilgoć i łzy. Zmywa się bez problemu ciepłą wodą”. Widocznie 24 godzin wystarczy już dziś, by nazwać „związek” „stałym”, ale nawet tak krótkoterminowa „stałość” nie wzbudziłaby entuzjazmu, gdyby jej następstw nie dało się łatwo usunąć i gdyby środek na jego usunięcie nie był, jak odrobina ciepłej wody, zawsze pod ręką...

Obojętnie, jakiego wyboru się ostatecznie dokona, powinien on raczej przypominać „lekki płaszcz”, który można w każdej chwili, według własnego uznania zrzucić z ramion, niż „stalowy pancerz” Maxa Webera, który zapewnia skuteczną i trwałą ochronę przed wstrząsami, lecz zarazem krępuje swobodę ruchów i boleśnie ogranicza zakres przyszłych wyborów. Najważniejsze dla młodych ludzi nie jest więc „budowanie tożsamości”, lecz zachowanie możliwości jej *przebudowy*, gdy się okaże lub gdy nasunie się podejrzenie, że jest to konieczne. Troska naszych przodków o *kształtowanie tożsamości* jest coraz bardziej wypierana przez troskę o jej *odnowę*. Tożsamości muszą być łatwo usuwalne. Trzeba, by było możliwe *łatwe pozbycie się* niezadowolającej lub nie dość zadowolającej tożsamości bądź tożsamości zdradzającej swój zaawansowany wiek, gdy się zestawi z „nowymi, ulepszonymi” aktualnie sugerowanymi wzorami. Najbardziej pożądanym atrybutem tożsamości doskonałej byłaby prawdopodobnie jej zdolność „biodegradacji”.

Ze względu na brak trwałych, autorytatywnych i niekwestionowanych wartości, jakie można by przypisać oferowanym opcjom, poszczególne możliwości dają się oceniać jedynie na wzór towarów rynkowych. Wybrany model tożsamości musi być „wystawiony na rynku”, aby tam „znaleźć swoją wartość”. Zgodnie z bieżącym zdrowym rozsądkiem, inspirowanym (jak zauważył Pierre Bourdieu) przez dzisiejszą *pensée unique*, „jedynie słuszną” myśl ekonomiczną, towar nie ma wartości, gdy nie znajduje nabywców, a wartość, którą posiada lub nabędzie, mierzy się liczbą chętnych do kupna i intensywnością ich pragnień. Karą za niepowodzenie w znajdowaniu/ wytwarzaniu odbiorców na wyprodukowaną i wystawioną na widok publiczny tożsamości jest *wykluczenie* (wyłączenie, banicja, eksmisja, bojkot towarzyski) – społeczny odpowiednik składowiska złomu. Jak twierdzi Vibeke Wara, młodzi ludzie mają szczególny talent do „sprzedawania się”¹¹. Skuteczność tego talentu, jak powiada Wara, mierzy się liczbą kontaktów, którą mogą się poszczycić. „Najbardziej utalentowani” mają najwięcej kontaktów (nawiązanych za pośrednictwem internetowych serwisów społecznościowych typu MySpace, Facebook, Second Life oraz ich licznych odgałęzień i pomniejszych naśladowców, których jest już prawie setka, jak również blogów, których liczba przekroczyła 70 milionów i rośnie w coraz szybszym tempie).

„Coraz więcej nastolatków czuje dziś coraz silniejszy nacisk, by stworzyć sobie większą tożsamość, wzorem oglądanych w mediach gwiazd” – mówi Laurie Ouellette, profesor komunikacji społecznej University of Minnesota i doradca »Reality-TV«¹², wyrażając tym samym pogląd powszechny dziś zarówno wśród ekspertów, jak i szerokiej

¹¹ V. Wara, *Mobile learning for the on generation*, „fo” 2008, Januar, s. 46.

¹² Por.: K. Giles, *Teens use e-nudity to get noticed*, „Star Tribune” 5 V 2008, [on-line:] www.startribune.com/local/east/18566414.html.

publiczności. „Większa tożsamość” oznacza przede wszystkim szerszą ekspozycję: większy zastęp widzów i takich, którzy mogą się doń dołączyć; więcej internetowych fanów, podnieconych/ zainspirowanych/ zachwyconych tym, co widzą, na tyle, by podzielić się wrażeniami ze swymi „kontaktami” (przechrzczonymi, za sugestią portali „społecznościowych”, na „przyjaciół”). MySpace, Facebook, Second Life oraz mnożące się jak grzyby po deszczu blogi są dla zwykłych ludzi odpowiednikiem tygodnika „Hello!”¹³ oraz niezliczonych mniejszych świątyń i kapliczek kultu gwiazd. Choć w uboższej niewątpliwie wersji (bo mniejsza jest tu tożsamość do pokazania), oczekuje się jednak, że wobec marzeń pospolitych śmiertelników spełnią owe portale taką samą rolę jaką „Hello!” gra wobec ambicji gwiazd z okładki i celebrytów, o których poczynaniach donosi w plotkarskich rubrykach. Blogi są dla wszystkich samozwańczych wybrańców seryjnymi „podróbkami”, naśladowującymi oryginalne kolekcje *haute couture*, na które mogą sobie pozwolić tylko nieliczni. Szansa, by w gąszczu blogów utworować sobie drogę do sławy, jest co prawda tylko niewiele większa, niż szansa przetrwania kuli śniegowej w piekle, ale szansa wygranej na loterii jest równa zeru, jeśli się nie kupi losu.

Żadna reprezentacja jaźni, bez względu na jej chwilowy sukces, nie może być pewna trwałości swego powodzenia. To, co dzisiaj jest „musem”, jutro czy pojutrze będzie przestarzałe i hańbiąco staromodne – albo zgoła nieczytelne. Dbaniu o zgodność swego wizerunku z modą bieżącą trzeba poświęcać 24 godziny na dobę przez wszystkie siedem dni tygodnia. Interaktywny potencjał Internetu jest jakby stworzony na miarę tej nowej potrzeby. Pomaga dotrzymać kroku temu, co jest ostatnio na fali, dostarczając wiedzy o dziś lansowanych przebojach, najnowszych wzorach tiszertów, i najświeższych przyjęciach, festiwalach i wydarzeniach z życia gwiazd będącym tematami najpopularniejszych plotek towarzyskich. Pomaga też na nowo ustawić akcenty i zaktualizować treści, a wobec endemicznej dla elektronicznego przekazu „kultury pośpiechu” z jej krótkim zasięgiem pamięci pomaga z własnego wizerunku wymazywać na czas ślady przeszłości – zawstydzająco przestarzałe treści i akcenty. Krótko mówiąc, ułatwia kreowanie siebie na nowo w stopniu nieosiągalnym poza wirtualnym światem. Jest to chyba jeden z najważniejszych powodów, dla których nowe „elektroniczne pokolenie” spędza tyle czasu w cyberprzestrzeni, pozostawiając go coraz mniej na życie „off-line”.

Obiekty odniesienia podstawowych pojęć, wyznaczających i opisujących *Lebenswelt* młodych ludzi i używanych dla jego opisu, powoli, lecz nieustępliwie przenoszą się w rezultacie ze świata *off-line* do świata *on-line*. Chodzi tu przede wszystkim o takie pojęcia, jak „kontakty”, „randki”, „spotkania”, „komunikowanie się”, „społeczność”, „przyjaźń” – a więc odnoszące się do relacji międzyludzkich i więzów społecznych. Wskutek przeprowadzki nabierają one nowych znaczeń, co nie może pozostać bez wpływu na motywowane i kształtowane przez nie zachowania. Do najważniejszych wpływów nowego ich habitatu należy postrzeganie obecnych więzi i zobowiązań na podobieństwo zdjęć

¹³ Brytyjskie pismo plotkarskie w stylu „Gali”.

migawkowych z procesu nieustających renegocjacji, a nie jako trwałych stanów, które zachowują się na zawsze. Należy dodać, że nawet „migawka” nie jest całkiem szczęśliwą przenośnią: sugeruje wprawdzie chwilowość zarejestrowanego widoku, ale może też implikować większą wytrzymałość jego obrazu niż ta, na jaką liczyć mogą elektroniczne więzy i zobowiązania. Słowo „migawka” należy do słownictwa fotografii, która pozwalała umieścić na papierze tylko jeden obraz, podczas gdy w stosunku do więzi elektronicznych najistotniejszymi i najczęściej używanymi opcjami są *kasowanie*, *podmiana* i „*over-writing*” – działania niewyobrażalne w przypadku papieru fotograficznego i celuloidowych klisz, a będące jedynymi niezbywalnymi zaiste atrybutami więzi elektronicznych.

Dla dorastającego pokolenia czas nie jest cykliczny ani linearny, lecz „pointylistyczny” – jak obrazy Seurata, Signaca i Sisleya. Pojedyncze „punkty czasowe” są znikomej wielkości, ale od kosmologów wiemy, że *każdy* z nich może się okazać momentem „pierwszego wybuchu”, choć w przeciwieństwie do obrazów, jakie pozostawili nam mistrzowie pointylizmu (obrazów, w których każdemu punktowi przypisano już raz na zawsze miejsce tak, że za każdym razem, gdy je oglądamy, wiemy czego się spodziewać), nie sposób przewidzieć, *który* to z momentów okaże się wybuchem brzemienny... Kosmologowie mogą wyjaśnić w najdrobniejszych szczegółach, co się stało ułamek sekundy lub miliard lat *po* wielkim wybuchu, ale nie mogą powiedzieć nic o tym, co było *przedtem*, a tym bardziej, co *wywołało* wybuch lub go *zapowiadało* (jeżeli istniał w ogóle jakiś czynnik wywoławczy lub jakaś zapowiedź). Trzeba więc każdy moment traktować z powagą i pochopnie go nie przekreślać ani nie lekceważyć.

Najbardziej rozpowszechniona strategia i koncepcja życia, którą znajdują dzisiaj badacze u najroztropniejszych młodych ludzi, jest właśnie konsekwencją takiego „pointylistycznego” pojmowania czasu. Ann-Sophie, 20-letnia studentka Copenhagen Business School, odpowiadając na pytania Flemminga Wislera, istotę tej strategii ujęła następująco: „Nie chcę, aby moje życie za bardzo mnie ograniczało. Nie zamierzam poświęcać wszystkiego dla kariery [...]. Najważniejsze jest dobre samopoczucie [...]. Nikt nie chce za długo trzymać się jednej pracy”. Innymi słowy: trzymaj rękę na pulsie i nie rezygnuj z żadnej opcji. Staraj się o to głównie, aby były to *twoje* opcje i *twój* puls. Nie przysięgaj niczemu i nikomu lojalności „do samej śmierci”. Świat jest pełen wspaniałych, obiecujących szans, którym nie można dać umknąć. Byłoby głupotą zwiększać prawdopodobieństwo utraty tych szans przez wiązanie sobie rąk i nóg nieodwołalnymi zobowiązaniami...

Życie młodego pokolenia jest dzisiaj przeżywane w *ciągłym stanie wyjątkowym*. Trzeba mieć cały czas oczy szeroko otwarte i bez przerwy nastawiać uszu, by natychmiast zobaczyć i usłyszeć coś nowego – tę „nowość”, która zawsze już się zbliża i to z impetem, porównywalnym jedynie do pędu, z jakim mija nas i znika. Nie można więc tracić czasu. Zwolnienie tempa byłoby czystym marnotrawstwem.

Jaka jest w tym wszystkim szansa, że „zasada rzeczywistości” powściągnie i utrzyma w ryzach napędzaną pragnieniami gonitwę za przyjemnością? Istotnym *novum* jest niewątpliwa *odwoływalność* tej zasady. Rzeczywistość postrzega się coraz częściej jako kło-

pot chwilowy, który należy przeczekać lub obejść zamiast z nim walczyć lub przed nim kapitulować. W naszym świecie części zamiennych i prawa do zwrotu towaru do sklepu w razie niepełnej satysfakcji klienta, przedmioty, które się nie podobają, na ogół się po prostu wyrzuca i zastępuje „nowymi, ulepszonymi”. Zwłaszcza młodzi ludzie podchodzą tak również do rzeczywistości „off-line”, którą chcą mierzyć tą samą miarą, co jej odpowiednik w świecie wirtualnym. „Zasadę rzeczywistości” uważa się dzisiaj za winną, dopóki nie dowiedzie swojej niewinności. A dostarczenie mocnego dowodu nie jest łatwe. „Zasada rzeczywistości” dźwiga ciężar przekonującego uzasadnienia swoich motywów wobec opozycji, jaką jest „zasada przyjemności” – i usprawiedliwienia się z kłopotów, które sprawia swoją obecnością.

Uzasadnienie może być prawdziwe lub fałszywe, ale jedno wiadomo na pewno: nie jest to cała prawda. Nie da się z góry przewidzieć, jaki będzie wynik obecnej konfrontacji obu zasad. Wydaje się, że żaden spór pomiędzy nimi nie ma wyznaczonego z góry punktu docelowego; jeśli w ogóle dochodzi do rozstrzygnięć, to tylko w nielicznych bataliach, a do punktu od jakiego nie byłoby już odwrotu dociera się nader rzadko. Sytuacja ta – powtórzmy – prowadzi do nieustającego stanu wyjątkowego i stanu ciągłej *Unsicherheit*. Podczas gdy pierwszy aspekt konfrontacji udostępnia rozleglejszą przestrzeń dla pogoni za przyjemnością, drugi aspekt każe się spodziewać przykrości – różnych od dawniejszych, ale często nie mniej dotkliwych i równie niepożądanych jak te, których przysparzała „zasada rzeczywistości” w czasach, gdy wydawała się niepokonana.

Podsumowując: z której strony nie spojrzeć, sytuacja pozostaje głęboko ambiwalentna. A ze stanu ambiwalencji wyjścia mogą być rozmaite. Stan wieloznaczności może wywoływać wzajem sprzeczne reakcje, owocujące całkiem różnymi odmianami cierpienia. *Carpe diem* i gorączkowe poszukiwanie „korzeni” i „fundamentów” są równoprawnymi (i równie prawdopodobnymi?) konsekwencjami. Są jednak powody do podejrzenia, że wahadło, które bezustannie oscyluje pomiędzy pragnieniem wolności a potrzebą bezpieczeństwa, jest znów gotowe do zmiany kierunku. Nie ma sposobu, by z jakąkolwiek dozą prawdopodobieństwa przewidzieć, na którą stronę przechyli się z kolei szala nieuleczalnie chwiejnej równowagi.

Coraz jaskrawsza niewydolność globalnego układu gospodarczego i globalnych sposobów eksploatacji zasobów naszej planety może doprowadzić do tego, że najnowsze szlaki kultury okażą się ślepyimi uliczkami, w które w ostatnich dwóch lub trzech „burzliwych dekadach” zbłądziła lub została ukradkiem wmanewrowana dostatniejsza część ludzkości. Na razie sytuacja wygląda tak, że choć „zasada rzeczywistości” wydaje się przegraną w kolejnej bitwie z „zasadą przyjemności”, to wojna pomiędzy nimi bynajmniej się nie skończyła, a jej ostateczny wynik (o ile jakkolwiek ugoda zasłuży na miano „ostateczności”) z całą pewnością nie jest jeszcze rozstrzygnięty.

(*tłumaczenie Joanny Gilewicz i Anny Zeidler-Janiszewskiej
przejrzane przez Autora*)